

Zbigniew Stawrowski: Solidarność, miłosierdzie, sprawiedliwość

Dla kogo jest nasza solidarność? Jest przede wszystkim dla tych, których poranili inni ludzie i którzy cierpią cierpieniem możliwym do uniknięcia, przypadkowym i niepotrzebnym. Nie wyklucza to solidarności dla innych, dla wszystkich cierpiących. Ale solidarność dla cierpiących przez ludzi jest szczególnie żywa, mocna, spontaniczna – pisał w roczniku Teologii Politycznej Zbigniew Stawrowski. Przypominamy ten tekst i zapraszamy na dzisiejszą konferencję „Przerwana lekcja «Solidarności»?”.

„Solidarność”, jako ruch społeczny, który doprowadził do upadku systemu komunistycznego, stała się istotnym elementem dziejów Polski i świata; pytanie o istotę przesłania tego ruchu oraz o jego aktualność wciąż porusza wielu i znajduje rozmaite odpowiedzi. Ten ważny społeczno-polityczny wymiar „Solidarności” chciałbym jednak pozostawić na dalszym planie i zająć się sprawą bardziej podstawową: rozważeniem, w oderwaniu od konkretnych wydarzeń historycznych, czym jest solidarność jako fenomen relacji międzyludzkich. Będzie to próba swego rodzaju fenomenologii doświadczenia solidarności, potrzebna, by odróżnić ją od innych podobnych czy pokrewnych zjawisk.

Czym zatem jest *solidarność*? Wstępnie można ją określić jako pewną formę czy też przejaw *miłości*. „Nie ma solidarności bez miłości” [1] – mówił Jan Paweł II w 1999 roku w Sopocie. Potwierdzenie tej intuicji odnajdziemy również w Katechizmie Kościoła Katolickiego: „zasada solidarności nazywana także «przyjaźnią» lub «miłością społeczną» jest bezpośrednim wymaganiem braterstwa ludzkiego i chrześcijańskiego” [2].

Miłość, oczywiście, niejedno ma imię: jest miłość małżeńska i rodzicielska, przyjaźń i braterstwo, istnieje także patriotyzm – miłość ojczyzny. Katechizm wspomina o dość niesprecyzowanej i abstrakcyjnie brzmiącej „miłości społecznej”. Jest wreszcie miłosierdzie, uznawane niekiedy za najgłębszą formę miłości. Choć, jak dobrze wiemy, z miłością wiążą się często silne uczucia, to nie są one tak ważne, jak szczególna postawa, z której wynika określone działanie. Miłość w niemal wszystkich swoich postaciach to postawa zatroskania o drugiego, wyrażająca się w konkretnym czynie. Jedne z wymienionych wyżej form miłości wydają się bliższe, inne bardziej odległe doświadczeniu solidarności. Dlatego warto przyjrzeć się im dokładniej.

Jako ilustracja i punkt wyjścia niech posłuży dobrze znana sytuacja opisana w przypowieści o miłosiernym Samarytaninie (Łk 10,30–37), będąca odpowiedzią na pytanie: „kto jest moim bliźnim?” (Łk 10,29), zadane przez uczonego w Prawie Jezusowi, by doprecyzował on przykazanie miłości: „Będiesz miłował Pana, Boga swego, całym swoim sercem, całą swoją duszą, całą swoją mocą i całym swoim umysłem; a swego bliźniego jak siebie samego” (Łk 10,27; por. Pwt 6,5; Kpł 19,18). Odwołanie się do tej przypowieści ma swoje dodatkowe racje, gdy staramy się zrozumieć, czym jest międzyludzka solidarność.

*Solidarności nie potrzeba
narzucać człowiekowi z
zewnątrz, przy użyciu
przemocy. Ta cnota rodzi się
sama, spontanicznie, z serca*

W słynnym kazaniu do przywódców związku, wygłoszonym w katedrze na Wawelu 19 października 1980 roku – kazaniu, które zainauguowało cykl

rozważań znany jako *Etyka solidarności* – ksiądz Józef Tischner przywołał dwa fragmenty Pisma Świętego, odtąd w sposób nierozzerwalny określające polski sposób myślenia o solidarności. Pierwszy z nich to słowa świętego Pawła: „jeden drugiego ciężary noście, a tak wypełnicie prawo Boże” (Ga 6,2), drugi zaś to właśnie przypowieść o miłosiernym Samarytaninie. O tej drugiej Tischner pisał: „Solidarność ma jeszcze jedną stronę: solidarności nie potrzeba narzucać człowiekowi z zewnątrz, przy użyciu przemocy. Ta cnota rodzi się sama, spontanicznie, z serca. Czy zmuszał ktoś Miłosiernego Samarytanina, aby pochylił się nad leżącym przy drodze rannym? Miłosierny Samarytanin poratował bliźniego, bo taka była jego dobra wola. Cnota solidarności jest wyrazem dobrej woli człowieka” [3].

W drugim rozdziale *Etyki solidarności*, zatytułowanym *Wspólnota*, Tischner ponownie sięga do ewangelicznej przypowieści, by poszukać w niej odpowiedzi na pytanie, jaki związek łączy zjawisko solidarności z polityką: „Oto przypowieść o Miłosiernym Samarytaninie. On także żyje w określonym społeczeństwie, w świecie określonej religii i polityki. Niemniej jego czyn jest jakby trochę poza światem – poza strukturami, które świat ludziom narzucił. Dobry uczynek Samarytanina jest odpowiedzią na konkretny krzyk konkretnego człowieka. To proste: ktoś woła o ratunek. Ranny leży w przydrożnym

rowie. Jego ból ma szczególny charakter: nie jest wynikiem choroby, nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, podeszłego wieku, lecz bólem z powodu drugiego człowieka. To człowiek człowiekowi zgotował taki los. Właśnie ten fakt jest ważny, to właśnie w sposób szczególny porusza sumienia i wzywa do solidarności. Nic tak nie oburza, jak rana niepotrzebna – rana, którą zadaje człowiekowi drugi człowiek. Nad chorymi operowanymi – litujemy się. Nad skrzywdzonymi – litujemy się i oburzamy zarazem. Z widoku takich bólów rodzi się szczególnie głęboka solidarność.

Dla kogo zatem jest nasza solidarność? Jest przede wszystkim dla tych, których poranili inni ludzie i którzy cierpią cierpieniem możliwym do uniknięcia, przypadkowym i niepotrzebnym. Nie wyklucza to solidarności dla innych, dla wszystkich cierpiących. Ale solidarność dla cierpiących przez ludzi jest szczególnie żywa, mocna, spontaniczna.

Czy to dotyka polityki? Owszem, ale tylko wtedy, gdy polityka jest złą polityką. Gdy polityka jest dobrą polityką, sama jest przepełniona duchem solidarności. Czyż bowiem polityce nie o to winno chodzić, by tak zorganizować przestrzeń życia ludzkiego, aby człowiek nie zadawał ran drugiemu człowiekowi? Wierna samej sobie polityka jest budowaniem przestrzeni, w której mogą działać sumienia Samarytan. [...] Miłosierny Samarytanin nawet nie biegnie, by pochwycić zbójców. Najpierw trzeba opatrzyć rany chorego. Zbójcami zajmą się ci, którzy stoją w pobliżu polityki. Solidarność to bliskość – to braterstwo dla porażonych. [...] Solidarność stanowi szczególne więzi międzyludzkie: człowiek wiąże się z drugim człowiekiem dla opieki nad tym, kto potrzebuje opieki. Ja jestem z tobą, ty jesteś ze mną, jesteśmy razem – dla niego. My – dla niego. My, ale nie po to, by patrzeć na siebie, lecz dla niego. Co tu jest pierwsze? Czy pierwsze jest «my», czy pierwsze jest

«dla niego»? Wspólnota solidarności różni się od wielu innych wspólnot tym, że w niej pierwsze jest «dla niego», a «my» przychodzi potem. Najpierw jest ranny i jego krzyk. Potem odzywa się sumienie, które potrafi słyszeć i rozumieć ten krzyk. Dopiero stąd rośnie wspólnota” [4].

Formalne struktury dobrego państwa i dobrej polityki powinny być pozytywnie otwarte na działania tych wszystkich, którzy chcą opatrywać rany ludzi dotkniętych różnymi cierpieniami

Przytoczyłem dłuższy fragment rozważań Tischnera, ponieważ spośród znanych mi tekstów zawiera on chyba najbardziej wnikliwą analizę fenomenu międzyludzkiej solidarności.

Tischner – zgodnie z formą i poetyką

swego tekstu – rzuca jedynie krótkie zdania, lapidarnie wyrażone myśli, które jednak mogłyby bez trudu zostać obudowane wieloma stronicami głębokich traktatów. Wskażmy najważniejsze punkty tej refleksji.

Po pierwsze, źródłowe doświadczenie opisane w przypowieści jest uniwersalną sytuacją egzystencjalną, w której – niejako poza strukturami tego świata – może znaleźć się każdy z nas i która jest zrozumiała dla każdego, niezależnie od historycznego, kulturowego czy politycznego kontekstu. Jest to sytuacja naturalnej reakcji ludzi obdarzonych sumieniem na spotkanie z cierpiącym człowiekiem, co więcej – cierpiącym, bo skrzywdzonym przez innych. To właśnie sytuacja ludzkiej biedy, cierpienia, krzywdy jest zapalnikiem

powodującym pojawienie się solidarności – najpierw jako odruchu wrażliwego, miłosiernego człowieka. Tischner, wychodząc już poza ewangeliczną przypowieść, zauważa, że powstanie wspólnoty solidarnych ludzi jest tutaj wtórne. Może ona zostać zbudowana dopiero na fundamencie bardziej pierwotnej więzi, łączącej człowieka cierpiącego z tymi, którzy usłyszeli jego wołanie o pomoc i odpowiedzieli na nie swoim czynem. Z tymi, którzy przestali być tylko *dla siebie* i stali się *dla niego* – którzy dostrzegli w nim swojego bliźniego.

Drugi ważny punkt tego fragmentu to postawienie pytania o relację solidarności i polityki. Tischner ma tu znakomitą intuicję (bliską skądinąd klasycznym liberałom!): *polityka* ma przede wszystkim *organizować bezpieczną przestrzeń*, tzn. taką, w której ludzie wzajemnie się nie ranią. Co więcej, chodzi o przestrzeń nie tylko bezpieczną, lecz także przyjazną, czyli taką, w której będą mogły działać sumienia Samarytan i nikt im przynajmniej nie będzie tego zabraniał. Formalne struktury dobrego państwa i dobrej polityki powinny być pozytywnie otwarte na działania tych wszystkich, którzy chcą opatrywać rany ludzi dotkniętych różnymi cierpieniami. W tym właśnie sensie polityka i państwo mają być przeniknięte i przepojone duchem solidarności. Nie wynika z tego jeszcze, że to państwo, jego instytucje i działania jego funkcjonariuszy same mają być solidarne – łapanie zbójców i pomoc bliźniemu to jednak zupełnie coś innego.

Jak widać, owa przypowieść stała się dla Tischnera okazją do snucia refleksji wychodzących poza ewangeliczny kontekst, co w żaden sposób nie obniża wartości jego intuicji. Oczywiście, są to właśnie tylko intuicje i dalsze ich rozwinięcie spowodowałoby natychmiast lawinę pytań oraz problemów. Idąc poniekąd śladami Tischnera i przyjmując

jego metodę „myślenia z wnętrza metafory” – twórczego odczytywania tekstu, spróbujmy raz jeszcze, ale już samodzielnie, przyjrzeć się sytuacji opisanej w archetypicznej przypowieści, spróbujmy następnie poddać ją pewnym modyfikacjom, aby lepiej unaocznić sens podstawowych doświadczeń, a także doprecyzować pojęcia, którymi posługujemy się na co dzień, gdy usiłujemy wyrazić w języku potocznym to wszystko, co wiążemy z fenomenem solidarności.

Miłość a miłosierdzie

W powszechnym uzusie językowym, określonym przecież przez wielowiekową obecność w naszej kulturze owej ewangelicznej przypowieści, nie mamy żadnych wątpliwości, że to, co Samarytanin okazał poranionemu człowiekowi, należy nazwać właśnie miłosierdziem. Ale czy każda pomoc człowiekowi w potrzebie może być tak nazwana? Czy na przykład matka zajmująca się swym zapłakany dzieckiem rzeczywiście okazuje mu miłosierdzie? Czy nie jest tak, że gdybyśmy mianem „miłosiernych” nazwali ludzi opiekujących się swoimi starymi, niedołączonymi rodzicami, to mogliby oni poczuć się takim określeniem wręcz obrażeni lub przynajmniej zażenowani? Z pewnością woleliby, aby mówić, że to, co czynią, to po prostu objaw ich miłości – na pewno zaś nie żadne miłosierdzie.

Wydaje się więc, że miłosierdzie to szczególna forma miłości – taka, która nie dotyczy osób bliskich, a zwłaszcza tych najbliższych. Wręcz przeciwnie, miłosierdzie okazuje się obcym, tym, którzy nie należą do naszej wspólnoty. Na początku jest jakaś obcość, którą czyn miłosierdzia niweczy, odsłaniając i potwierdzając bliskość. Miłosierdzie to (od)tworzenie wspólnoty niejako od zera, wspólnoty, której nigdy nie

*Miłosierdzie to (od)tworzenie
wspólnoty niejako od zera,
wspólnoty, której nigdy nie
było, albo była i została
całkowicie zerwana*

było, albo była i
została całkowicie
zerwana. Nie bez
powodu bohaterem
ewangelicznej
przypowieści jest
Samaritanin – ktoś,
kto dla ówczesnych
Żydów był całkowicie

obcy, wręcz wrogi, niczym Żyd dla Niemców w realiach III Rzeszy. Podobne rozumienie tego słowa odnajdujemy w epoce średniowiecza, kiedy to za akt miłosierdzia uważano rycerski gest okazany pokonanemu przeciwnikowi. Tak właśnie – *miser cordia* – nazywał się sztylet, którym na polu bitwy dobijano ciężko rannego wroga, aby się dłużej nie męczył. Możemy zatem stwierdzić, że miłość nabiera znaczenia miłosierdzia wprost proporcjonalnie do narastającej obcości. Czyste miłosierdzie pojawia się wówczas, gdy ten, komu je okazujemy, ma podstawy, by sądzić, że uznajemy go za śmiertelnego nieprzyjaciela. Aby unaocznić ten fenomen, warto odwołać się do polskiej literatury. Nie ma chyba bardziej dramatycznej sceny obrazującej czysty akt miłosierdzia niż ta z *Krzyżaków* Henryka Sienkiewicza, kiedy to oślepiiony Jurand ze Spychowa rozcina więzy i uwalnia swego największego wroga – oprawcę i mordercę córki, Zygryda de Löwe. Obraz ten został przejmująco pokazany w filmie Aleksandra Forda z 1960 roku.

Powyższa analiza pokazuje, dlaczego w ewangelicznej przypowieści rzeczywiście mamy do czynienia z miłosierdziem. Samaritanin bez wątpienia okazał się wobec poranionego człowieka kimś miłosiernym – ale czy również solidarnym? Możemy oczywiście rozumieć to drugie słowo tak szeroko, że odpowiedź okaże się pozytywna – wtedy

„solidarność” stanie się synonimem „miłosierdzia”. Możemy jednak spróbować rozdzielić te fenomeny. O ile postawa miłosierdzia jest niesymetryczna czy też jednostronna: *miłosierdzie okazuje się komuś*, kto może nawet nie być tego świadomy, np. nieprzytomnemu choremu, o tyle z solidarnością rzecz ma się zgoła inaczej. *Solidarnym jest się z kimś*, jest się razem – słowa „jeden drugiego brzemiona noście” sugerują pewną dwustronność (lub wielostronność), symetrię, której nie sposób dostrzec w literalnie traktowanej przypowieści o miłosiernym Samarytaninie. Dlatego odwołanie się do niej przez Tischnera jest nieco mylące. Aby z tej opowieści o miłosierdziu wydobyć czysty fenomen solidarności, należy ją wzbogacić o nowe elementy.

Solidarność a miłosierdzie

Uzupełnijmy więc ten ewangeliczny obraz o jeszcze jedną osobę. Wyobraźmy sobie, że obok leżącego przy drodze pobitego i poranionego człowieka przejeżdża nie tylko Samarytanin, ale także jadący z przeciwnej strony Grek (w rozumieniu Żydów również ktoś obcy). Obaj zatrzymują się i ruszają na pomoc rannemu. Jeden podaje mu wodę, drugi obmywa rany, potem wspólnie albo – mówiąc wprost – solidarnie zanoszą poranionego do najbliższej stacji pogotowia ratunkowego i solidarnie ponoszą wszystkie koszty niezbędnej kuracji. Potem rozjeżdżają się w przeciwne strony. Choć do tej pory nie mieli ze sobą nic wspólnego, to nawet jeśli nigdy więcej się nie spotkają, będą nieśli w sobie pamięć doświadczenia szczególnej wspólnoty, która ich połączyła – poczucie potwierdzonej, sprawdzonej czynem bliskości czy braterstwa. Właśnie to doświadczenie precyzyjnie wychwycił i opisał Tischner (wychodząc tym samym poza dosłowną treść ewangelicznej przypowieści): „Solidarność stanowi szczególne więzi ludzkie: człowiek

wiąże się z drugim człowiekiem dla opieki nad tym, kto potrzebuje opieki. Ja jestem z tobą, ty jesteś ze mną, jesteśmy razem dla niego. My – dla niego. My, ale nie po to, by patrzeć na siebie, lecz – dla niego. Co tu jest pierwsze? Czy pierwsze jest «my», czy pierwsze jest «dla niego»? Wspólnota solidarności różni się od wielu innych wspólnot tym, że w niej pierwsze jest «dla niego», a «my» przychodzi potem. Najpierw jest ranny i jego krzyk. Potem odzywa się sumienie, które potrafi słyszeć i rozumieć ten krzyk. Dopiero stąd rośnie wspólnota” [5].

*Solidarnym jest się z kimś,
jest się razem – słowa „jeden
drugiego brzemiona noście”
sugerują pewną dwustronność
(lub wielostronność),
symetrię, której nie sposób
dostrzec w literalnie
traktowanej przypowieści o
miłosiernym Samarytaninie*

Solidarność łączy
tych, którzy
odpowiadają czynem
na wołanie człowieka
w potrzebie. To
poczucie wspólnoty,
która wiąże ze sobą
ludzi gotowych
okazać innym
opiekuńczą i
wspierającą miłość
(tym bliskim) i
miłosierdzie (tym

pozornie obcym). To jasna, potwierdzona czynem świadomość, z kim ma się w tym wspólnym działaniu do czynienia – z kimś, kto zdolny jest do miłości bliźniego, do związanego z nią wysiłku i ryzyka, do poświęcenia swoich interesów i swojego czasu, z kimś, komu właśnie dlatego można zaufać i na nim polegać. Solidarność nie jest więc sama miłością, ale wyrasta na podłożu miłości. Jest wspólnotą nie tych, którzy patrzą sobie prosto w oczy i wzajemnie sobie okazują miłość, lecz tych, którzy szeroko otwartymi oczami rozglądają się wokół siebie i

dostrzegają innych oczekujących na ich pomoc. Jest wspólnotą ludzi, którzy pokazali czynem, że potrafią troszczyć się o drugiego, i jako tacy właśnie rozpoznają się wzajemnie.

Sprawę można zresztą jeszcze bardziej wyostrzyć. Nawet gdyby poranionego nie udało się uratować albo gdyby okazał się skończonym łajdakiem, gotowym odgryźć pomocną dłoń tym, którzy ją do niego wyciągnęli, to przecież ich czyn nadal byłby czynem miłosierdzia, a ich solidarność – solidarnością. Nie efekty się tu liczą, lecz dobra wola człowieka albo – ujmując to inaczej – decyzja sumienia obudzonego krzykiem ludzkiej biedy. Tischner miał rację: „solidarność rodzi się z dobrej woli i budzi w ludziach dobrą wolę” [6] – „najgłębsza solidarność jest solidarnością sumień” [7]. Solidarność to zatem świadomość wspólnoty i zarazem rzeczywiście istniejąca wspólnota ludzi dobrej woli – ludzi, którzy wiedzą, że mają sumienie, i chcą się nim kierować. To wspólnota osób połączonych troską o tych, którzy potrzebują pomocy.

Wszystko to, co mogliśmy do tej pory uchwycić i wydobyć, rozważając prosty model relacji opisanych w ewangelicznej przypowieści, jest oczywiście tylko wstępem do analizy relacji bardziej złożonych. Każdy z nas może znaleźć się w odmiennym położeniu, może być – niekiedy nawet w tym samym czasie – pod jednym względem wezwanym do udzielenia pomocy, pod innym zaś – cierpiącą ofiarą. Ci, którzy solidarnie pomagają innym, sami przecież często potrzebują wsparcia. Jak się wydaje, historia miłosiernego Samarytanina – nawet uzupełniona i zmodyfikowana – wyczerpuje tu już swoje hermeneutyczne możliwości.

Być może te bardziej skomplikowane, nakładające się na siebie i powiązane relacje lepiej oddałyby inny obraz: oto załoga łodzi walcząca z żywiołem. Jedni wytrwale wiosłują, inni wybierają z łodzi wodę, ktoś steruje, jeszcze ktoś na dziobie wypatruje brzegu – wszyscy są wyczerpani i poranieni, ale wszyscy solidarnie wykonują swoje zadania. Troszczą się o siebie wzajemnie i o zagrożone wspólne dobro – o los całej załogi, którą wspólnie tworzą; bez zgodnej współpracy ich szanse przeżycia spadłyby do minimum. Tak chyba jawi się obraz solidarnej wspólnoty – obraz, który w dużym stopniu odpowiada temu, co w latach 1980-1981 wydarzyło się w Polsce i co do dziś stanowi dla nas wzór i ideał solidarności.

Przestrzeń miłosierdzia i solidarności

Pozostaje jednak jeszcze jeden ważny element, istotnie wpływający zarówno na gotowość ludzi do okazywania innym wsparcia i pomocy, jak i – w konsekwencji – na możliwość powstania solidarnej wspólnoty. To szerszy kontekst, w którym dochodzi lub nie dochodzi do takich działań, kulturowa, polityczna, instytucjonalno-prawna *przestrzeń*, mogąca osłabiać bądź wspierać solidarne zachowania.

Wyobraźmy sobie najpierw przestrzeń wyjątkowo niesprzyjającą współdziałaniu na rzecz osób potrzebujących pomocy, przestrzeń wręcz niszczącą. Przykładami mogą być komunizm lub inne ustroje totalitarne albo, jeszcze mocniej, rzeczywistość łagru czy obozu koncentracyjnego – przestrzeń, w której wszelkie sensowne działanie na rzecz wspólnego dobra jest zakazane i surowo karane. Także w takich warunkach można oczywiście być miłosiernym i solidarnym, ale

wymaga to heroizmu – trzeba się wtedy liczyć nawet z możliwością męczeństwa. Trudno więc oczekiwać, że solidarne postawy będą w takich okolicznościach czymś powszechnym.

Wyobraźmy sobie z kolei sytuację – ot, choćby przypominającą obraz przedstawiony w przypowieści o miłosiernym Samarytaninie – kiedy przestrzeń instytucjonalna wydaje się neutralna, to znaczy kiedy nie wpływa ona na nasze zachowania, tak jakby jej w ogóle nie było. Wszystko zależy wtedy tylko od nas samych, od otwartości i wrażliwości naszych sumień. Jeśli jesteśmy wewnętrznie zamknięci, to będziemy zachowywali się jak kapłan i lewita z owej przypowieści. Jeżeli mamy serca podobne do Samarytanina, może stać się zupełnie inaczej.

Przedstawmy sobie teraz sytuację dynamicznej zmiany, przejścia od przestrzeni pierwszej, tej pełnej represji, do drugiej, kiedy instytucjonalne restrykcje znikają i nagle pomoc innym oraz solidarne zachowania przestają wiązać się z większym ryzykiem. Gdy tylko otwiera się przestrzeń, w której sensowne życie, polegające na działaniu na rzecz dobra wspólnego, przestaje być niebezpieczne, można oczekiwać, że przestrzeń ta natychmiast wypełni się spontanicznym wybuchem ludzkiej aktywności. To właśnie wydarzyło się w Polsce w 1980 roku. Kontrast między martwością i beznadzieją codziennej egzystencji w komunizmie a erupcją społecznego zaangażowania okazał się kolosalny. Zniknęły lęk i wzajemna podejrzliwość, pojawiły się i upowszechniły objawy zwykłej ludzkiej życzliwości, serdeczności, wdzięczności. Wyglądało to trochę tak, jakby po latach suszy gdzieś w Afryce spadł wreszcie obfity deszcz i nagle z suchej, popękanej ziemi wystrzeliły źdźbła roślin, wokół wybuchła zieleń, wszystko zakwitło. Po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku sytuacja ponownie się odwróciła, przywrócono

restrykcyjną przestrzeń, w której sensowna działalność publiczna znów stała się zakazana i karana. Na szczęście przestrzeń ta nie była szczelna i choć nastał kolejny „okres suszy”, a wiele roślin obumarło, to solidarne działania nie zniknęły, lecz przeniosły się do „katakumb”, kryjąc się w bezpiecznej przestrzeni Kościoła.

Przestrzeń polityczno-prawna niewątpliwie ma istotne znaczenie dla powszechności miłosiernych i solidarnych postaw. Kwitną one w przestrzeni sprzyjającej, w przestrzeni nieprzyjaznej zaś przyjmują je tylko osoby gotowe na ryzyko, niekiedy nawet na jakąś formę męczeństwa. Dlatego warto mieć świadomość, że praca nad jak najbardziej przyjaznym kształtem instytucji, w których ramach toczy się nasze życie, jest szczególnym zadaniem i wyzwaniem. Właściwie pojęta polityka, bo o niej tutaj mowa, polegająca na tworzeniu odpowiednich rozwiązań prawnych, może być rozumiana jako pomoc – w sposób pośredni – ludziom w potrzebie, a więc jako akt miłości i miłosierdzia; może być również bezpośrednio doświadczana przez tak umotywowanych polityków jako solidarne współdziałanie. Polityka realizowana w duchu roztropnej troski o dobro wspólne oba te wymiary – miłosierdzia i solidarności – jakoś w sobie zawiera. Ostatecznie jest ona kształtowaniem przestrzeni, w której bez przeszkód „mogą działać sumienia Samarytan”, przestrzeni, w której naturalna wrażliwość i ofiarność ludzi gotowych do pomocy nie czyni z nich samych kolejnych ofiar. Do tak rozumianej polityki można odnieść słowa Cypriana Kamila Norwida: „Cała tajemnica *postępu ludzkości* zależy na tem, aby coraz więcej stanowczo, przez wcielanie dobra i rozjaśnianie prawd, broń największa, jedyna, ostateczna, to jest *męczeństwo* uniepotrzebniało się na ziemi” [8].

Solidarność a sprawiedliwość

Na koniec warto postawić pytanie o to, jak powinna wyglądać przestrzeń, która nie przeszkadzałaby, a może nawet zachęcałaby do miłosiernych i solidarnych zachowań. To, innymi słowy, pytanie o instytucjonalny kształt państwa. Czy państwo może i powinno być solidarne? A jeśli tak, to w jakim sensie?

Odpowiedź jest w gruncie rzeczy prosta. To nie państwo ma być solidarne, lecz nasze działania w jego ramach. Instytucjonalna przestrzeń państwa powinna być przede wszystkim *sprawiedliwa*. Musi w sprawiedliwy sposób regulować ludzką *wolność*, oddając każdemu, stosownie do jego czynów, to, co mu się słusznie należy. Jeśli naszą wolność regulują w ramach państwa trwałe i sprawiedliwe prawa i zasady, to tym samym umacnia się sfera elementarnego zaufania niezbędnego do wspólnego podejmowania solidarnych przedsięwzięć.

To nie państwo ma być solidarne, lecz nasze działania w jego ramach.

Instytucjonalna przestrzeń państwa powinna być przede wszystkim sprawiedliwa

Dobrze zorganizowane państwo musi być sprawiedliwe, ale – wbrew potocznemu mniemaniu – nie tylko nie powinno, ale wręcz nie może być solidarne. Nie

może, ponieważ solidarności, jako zbudowanej na fundamencie miłości, nie da się rozbudzić ani urzeczywistnić środkami przymusu, które należą do istoty państwa. „Solidarności – pisał Tischner – nie potrzeba narzucać człowiekowi z zewnątrz przy użyciu siły. Ta cnota rodzi się sama, spontanicznie, z serca. [...] Solidarność rodzi się z

dobrej woli i budzi w ludziach dobrą wolę. Ona jest jak ciepły promień słońca: gdziekolwiek się zatrzyma, pozostawia ciepło, które promieniuje dalej bez przemocy” [9].

Powtórzmy: to nie państwo, lecz ludzie – wolne i odpowiedzialne jednostki – mogą i powinni być solidarni. Byłoby całkiem nieźle, gdyby państwo starało się w tym jak najmniej przeszkadzać. Gdy sprawujący rządy pod hasłem solidarności podejmują działania nadające trosce o potrzebujących trwałą instytucjonalny, a więc wspierany przymusem państwowym kształt, ryzykują, że uczynią z solidarności jej karykaturę, czyli tzw. państwo socjalne. Wsparcie udzielane z urzędu i okazywane nie tyle konkretnym osobom, ile grupom spełniającym ustalone ustawowo kryteria wymaga ogromnej roztropności, ponieważ łatwo może się przerodzić w postawę, która nie bierze pod uwagę szacunku wobec wolności i godności drugiego człowieka. W ramach państwowej pomocy społecznej to, co powinno być darem, staje się w oczach „obdarowanych” czymś, co się im po prostu „sprawiedliwie” należy i za co nie mają powodu okazywać wdzięczności. Również ci, od których pochodzą środki wspierające potrzebujących, nie mogą w żaden sposób uważać się za darczyńców. Jako ofiary wymuszonych przez państwo danin niosą w sobie raczej głębokie poczucie niesprawiedliwości. Co więcej, zorganizowana pomoc państwowa, tworząc trwałe instytucje, często utrwała chorą sytuację jako normę, zamiast starać się ją uzdrowić. Najgorsze zaś jest to, że państwo, które usiłuje być w podobny sposób „solidarne”, zaniedbuje swoją podstawową funkcję – przestaje być sprawiedliwe. Nie tylko dlatego, że nierównomiernie nakłada na obywateli brzemiona, by zdobyć środki na swą politykę socjalną, ale również dlatego, że obok ludzi, którzy nie z własnej winy znaleźli się w potrzebie, wsparcie otrzymują również ci, którzy nie chcą sobie radzić, bo w sposób wolny wybrali dla siebie taki właśnie sposób

życia. W państwie sprawiedliwym ci ostatni otrzymaliby to, co im się słusznie należy, to znaczy ponosiliby wszystkie konsekwencje swego wyboru [10].

Brzemiona innych gotowi jesteśmy nosić tylko wtedy, gdy ufamy, że drugi rzeczywiście wymaga pomocy, a nie pasożytuje na naszej dobrej woli. Trudno być bowiem solidarnym z kimś, kto nas oszukuje czy wykorzystuje. Jeszcze trudniej, gdy cały system państwowych instytucji dyskryminuje lub wręcz karze za solidarne zachowania, a wspiera różnych „pasażerów na gapę”. I choć przejawy solidarności są oczywiście możliwe w każdym, nawet najbardziej opresyjnych warunkach, to jednak istnienie systemu sprawiedliwych praw i instytucji regulujących wspólne życie wolnych osób tworzy najbardziej przyjazną przestrzeń dla postaw bezinteresownej życzliwości – przestrzeń, w której miłość, miłosierdzie i solidarność mogą bez przeszkód rozkwitać.

*Istnienie systemu
sprawiedliwych praw i
instytucji regulujących
wspólne życie wolnych osób
tworzy najbardziej przyjazną
przestrzeń dla postaw
bezinteresownej życzliwości –
przestrzeń, w której miłość,
miłosierdzie i solidarność
mogą bez przeszkód rozkwitać*

I na tym tle ostatnia już uwaga – bardzo konkretna i aktualna – odnosząca się do obecnego kształtu polskiego państwa. Czy dyskomfort, który w związku z nim wciąż odczuwamy, rzeczywiście ma coś wspólnego z zapomnieniem idei

solidarności oraz zaniechaniem solidarnych działań i postaw? Gdy spogląda się na bogactwo i różnorodność wielorakich oddolnych inicjatyw w dzisiejszej Polsce, można wręcz powiedzieć, że obecnie postaw solidarnych i solidarnego współdziałania jest całkiem sporo – kto wie, może nawet więcej niż w czasie pierwszej „Solidarności”. Największym problemem Polski wydaje się raczej to, że państwo jako instytucjonalna przestrzeń naszej wolności, ukształtowana po 1989 roku z jawnym lekceważeniem zasady prawdy i sprawiedliwości [11], mimo pierwszych, bardzo spóźnionych prób naprawy wciąż odbiega od tego, co można by nazwać przyjazną przestrzenią troski o drugiego człowieka. Dziś to przede wszystkim nasze państwo, poobijane przez rozmaitych rozbójników, z niewyleczonymi do końca ranami, w obliczu kolejnych zewnętrznych wyzwań i zagrożeń wymaga solidarnego współdziałania – najwyższy czas, by to wreszcie dostrzec i wspólnie zatroszczyć się o jego zdrowie.

Zbigniew Stawrowski

* Tekst jest rozszerzoną wersją artykułu pt. *Przestrzeń dla Samarytanina*, opublikowanego w tygodniku „Plus Minus” („Rzeczpospolita”), 31.10.2014.

[1] Jan Paweł II, *Pielgrzymki do Ojczyzny*, Kraków 2005, s. 1019.

[2] Katechizm Kościoła Katolickiego, Poznań 1994, s. 448 [1939].

[3] J. Tischner, *Etyka solidarności*, Kraków 1981, s. 6–7.

[4] Tamże, s. 12–14.

[5] Tamże, s. 13–14.

[6] Tamże, s. 7.

[7] Tamże, s. 8.

[8] C.K. Norwid, *Promethidion* [w:] tegoż, *Pisma wybrane*, t. II: Poematy, Warszawa 1968, s. 317.

[9] J. Tischner, *Etyka solidarności*, dz. cyt. s. 6–7.

[10] To wszystko nie znaczy jednak, że funkcje państwa powinny sprowadzać się wyłącznie – jak to głosi doktrynerska wizja państwa minimalnego – do roli nocnego stróża. Roztropne przyznawanie słusznych przywilejów, choćby takich, których celem będzie wzmocnienie rodziny, wcale nie musi naruszać zasady sprawiedliwości, poczucie solidarności zaś może wręcz wzmocnić i pogłębić. Ponadto państwo jest bezwzględnie zobowiązane do interwencji wszędzie tam, gdzie ze względu na zakres zagrożenia, jego niespodziewany i gwałtowny charakter, potrzebna jest taka skala działań i taka mobilizacja środków, jakiej w krótkim terminie nie będzie w stanie

zapewnić nikt inny. Uprawnione interwencje państwa wykraczające poza zakres jego normalnych działań muszą mieć jednak charakter działań wyjątkowych, a więc z natury rzeczy tymczasowych. Po opanowaniu sytuacji kryzysowej państwo powinno się wycofać i ograniczyć, pozostawiając wolną przestrzeń dla spontanicznej solidarności obywateli i tworzonych przez nich organizacji. Ważne, by pod hasłem miłosierdzia i solidarności nie były wspierane grupy pasożytnicze i nie powstawały struktury dewastujące moralną przestrzeń zaufania, wolności i odpowiedzialności.

[11] Więcej o duchowej kondycji naszego państwa por. Z. Stawrowski, *Budowanie na piasku. Szkice o III Rzeczypospolitej*, Kraków 2014.